

ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XII.

Warszawa, dnia 1 maja 1920 roku.

Nr 18.

O dzieło Orłowskiego.

W artykule „Świata” p. t. „Rewindykacje”, zwracałem uwagę, na dzieło naszego znakomitego artysty, profesora akademii malarskiej w Petersburgu, Orłowskiego. Przedstawia ono projekt na pomnik ks. Józefa Poniatowskiego, który miał stać w Warszawie ze składek publicznych, przeważnie oficerów wojsk Księstwa Warszawskiego. Projekt ów, aczkolwiek malarsko traktowany, posiadał pierwszorzędne zalety, był od stóp do głów narodowym i wyrósł z ducha i odczucia patriotycznego. Niestety, świetnego twórcę, pobiła firma, pobił plastyk, robiący na obstalunek posągi dla różnych wielkości europejskich, począwszy od Szyllera skończywszy na Aleksandrze I, i piękności w rodzaju Bariatyńskiej. Albertowi Thorvaldsenowi polecono wykonanie dzieła, uświetnienie pamięci eposu na wskroś polskiego i samoistnego. Aby jednak dać mu pojęcie, jak się burka, czako, mundur i t. d. ułańskie prezentują, aby mu uzewnętrznić moment wysoce ważny, bo indywidualność i w rysach i w natchnieniu popęlić mu obcą, — przesłano artyście do Rzymu pracę Orłowskiego, jako wzór gotowy. W pierwszych chwilach skłaniał się Thorvaldsen do pomysłu znakomitego malarza, rzucał na papier rozliczne szkice, bardzo zresztą ulotne, świadczące jednak, jak dalece więził go pomysł Orłowskiego i zamknięty w nim czar narodowych pierwiastków, po pewnym czasie jednak odstąpił od linii, wykreślonej przez petersburskiego profesora, a nawet odbiegł od niej daleko. Prawdopodobnie romantyzm,

rozmach fantazji i lotność pewna onieśmieliły go i odrzuciły od przedsięwzięcia, przechodzącego miarę jego pojęć i kanonów w sztuce. Zapatrzony w chłód — i w dostojną powściągliwość klasycyzmu, w formuły staro-helleńskie, nie czuł się na siłach płynąć pod zgoła innymi żaglami i uciekł się do formuł, krótkim poświęcił całe życie. Powstał więc po długich chwilach porodowych stulecia — pomnik „księcia Pe-pi”, wzorowany niewolniczo na Marku Aureljusz kapitolinijskim z tą tylko odmianą, — że na drugim jest postać w tunice ślicznie sfałdowanej, z lokowaną brodą, — a tu wnieco, ale tylko w lekko nieco innej draperji, — i niezłą samą głową, — ale zresztą oba *à la Romani*, brat do brata podobny, prawie bliźniaki. Rzymianin jeden i drugi... Po przywiezieniu do Warszawy gipsowego odlew, wynikała też zaraz walka o pomnik, walka o pominięcie narodowych znamion, jeszcze bardziej spór na tle gasnącego klasycyzmu i pełne skrzydła rozwijającego romantyzmu. Istotnie, dość było odjąć głowę Poniatowskiego i nasadzić na korpus imperatora, — a byłby z małemi wersetami Marek Aureljusz. Ostatecznie, ujemne wrażenie zatarła ciężka dłoń rzeczywistości. Powstanie 1831 r. przecięło możliwość umieszczenia na miejscu spiżowego odlew, wykonanego w warsztatach braci Grègoire przy ul. Długiej... Pomnik powędrował z rozkazu Mikołaja I do Modlina, a następnie dzieło, wykonane dzięki składkom publicznym, podarował samodziśzec Paskiewiczowi - Ery-

wańskiemu, księciu Warszawskiemu. I zdobyło ono długi czas park w posiadłości marszałka w Homlu, aż teraz dostanie się wcześniej czy później do naszej stolicy. Płótno kolorowe Orłowskiego *pożyczono* na żądanie prezesa komitetu pomnika, gen. Stanisława Mokronowskiego, lecz duński artysta zapomniał je powrócić, poczem po śmierci głośnego klasyka przeszło wraz z jego zbiorami do muzeum Thorvaldsena w Kopenhadze. Świadczą o tem dokumenty, zamieszczone w dziele biografu mistrza, Thielego. Podpisanemu nadmieniał wyraźnie dyrektor muzeum, p. Mario Krohn (Thorvaldsens Museum, Copenhagen — Köbenhavn), — że trudności nie będzie zapewne ze zwrotem pracy Orłowskiego, po ustaniu zawieruchy wojennej. Nadszedł zatem czas, w którym ministerstwo sztuki powinno zgłosić najsłuszniejsze pretensje i przeprowadzić odpowiednie rokowania. Należy tylko sprawę skierować do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a ono za pomocą przedstawicielstwa w Kopenhadze poczynić powinno odpowiednie kroki. W końcu podkreślam, — że replika znajdzie się w muzeum Czar-toryjskich, jednakże jednobarwna, czarna Reprodukcję prawdziwego projektu podałem w moim „Napoleonie, Legjony i Księstwo Warszawskie”.

Ernest Łuniński.



TOPIEL.

36

Objęcia dziewczyny rozchyliły się po chwili bezwładnie—jak rozdarty kwiat i z ust wyrwał się stłumiony krzyk bólu. Płakała gorzko, gorzko płakała, gdy ją puścił.

— Przestań, ukochana!.. — pocieszał ją pochylony nad nią.

— Miłowałem cię od pierwszego spotkania... Wróciłbym nietylko po złoto, ale i po ciebie... Teraz zaraz oddałbym ci cały ten skarb, ale ziemia zamarzyła... chcę jednak, abyś wiedziała, czego nikt nie wie i czego nikt się nie dowie... Chcę abyś w razie mej śmierci została, bogatą, wolną, wspaniałą panią... Słuchaj więc uważnie: Jest na brzegu rzeki, niedaleko waszej łachy, stary samotny modrzew...

Zatuliła mu usta ciepłymi rękami:

— Milcz!.. Nie chcę... Stało się...

— Powiedz, że mię kochasz!

Milczała, leżąc bez ruchu na wznak z szeroko otwartymi utkwionymi w ciemności oczyma.

Znowu ją przygarnął do siebie, już powolną, i została z nim do świtu.

XXV.

— Nie gadaj mi dziewczyno, że ci nic nie jest!.. Nie gadaj mi!.. Przyjrzyj się w lustrzel!.. Chudniesz, czerniejesz, oczy podkrążone. Na nogach się ślaniaesz!.. Zaraz powiadaj, co ci jest!.. — nastawała pani Wojciechowa, chwytając córkę za rękę i podprowadzając ją do okna.

Za szybami, po przez alabastrowe koronki zamrozu grał cudny słoneczny dzień, dochodziły wesołe głosy chłopców i stukot wału tocącego się na omlotowym tokowisku.

— Co ci jest?..—powtórzyła stara, wstrząsając córkę za ramię.

— Nie wiem!.. — odszepnęła ci cho dziewczyna, czerwieniąc się po uszy i pochylając głowę, żeby ukryć nabiegłe do oczów łzy.

— Widzisz, jest ci coś! Nie sy-piasz pewnie!?

— Sypiam, mamuchno, sypiam!.. — broniła się gorąco.

— Muszę ja w to wejrzeć!.. Jutro jedziemy do doktora!.. — postanowiła Zagnańska.

— Nie trzeba, mamuchno, do-prawdy... Bóg świadkiem, nic mi nie jest... To przejdzie, to już przechodzi... Zaraz się poprawię... Zobaczysz!..

— Zabaczmy. Dobrze, jeszcze poczekam, ale kłaść się musisz wcześniej, a nie markować po nocach, jak to przyuczyłaś się robić... Słyszę, jak tam się nieraz po kuchni tłuczysz!.. Co tam robisz...

— Nic. Porządkowałam na górze moje stare rzeczy... Teraz kiedy zaczęła się taka drożyzna na ubranie, wartoby niektóre przenieć... choćby mój kortowy kaftanik, który przyniosłam... — dodała wskazując ruchem głowy na wiszące koło drzwi odzienie.

— Pani Wojciechowa rzuciła badawczy wzrok w tę stronę.

— Pewnie, żeby można!..

— Dlatego też musiałam górę zamknąć, bo mi chłopcy wyciągali rozmaite szmaty na podbicie pod chomonta, na rozmaite swoje potrzeby... A to przecież teraz takie drogie i niewiadomo, co będzie...

— Tak, tak!.. Dobrze!.. Ale głównie o sobie powinnaś pamiętać i, Boże uchoj, nie przeziębć się! Dziś mróz srogi... Nie wyjdiesz, ja sama wszystko na dworze zrobię!..

Cały dzień czuła Frania z przerażeniem tklivy i badawczy wzrok matki na sobie...

— Nie wytrzymam!.. — mówiła cicho do siebie.—Nie wytrzymam!..

Miała ochotę przypaść do tych nóg kochanych i opowiedzieć wszystko.—Ale rozumiała, że wtedy Tereszczenko musiałby odejść natychmiast i przerażenie o jego los oraz rozdierający ból wieczystej utraty lodowaciły jej usta i czyny.

— Jeszcze jeden dzień!.. Może nareszcie ten Tadzik coś... zrobi!..

Gdy dzieliła się swemi obawami z Tereszczenką, ten nie zdawał się bardzo niemi przejmować...

— Matka może lada chwila tu zajrzeć!..

— Schowam się w kąt, zrobię się taki malutki jak mysz... Nie dostrzeże mnie... Schowam się do tego kosza.

— Za duży jesteś...

— Ee, głupstwo... Słyszałaś anegdotkę o tej pszczole, co była duża jak człowiek i musiała przejść przez zwykłą dziurkę do ula...—śmiał się.

— Trzeba jednak coś zrobić, żebyś mógł wyjść...

— Och, dziewczyno, dziewczyno nie śpieszy mi się!.. Co tam za-wczasu się martwić, tem co będzie...

Jak przyjdzie, to zobaczymy, a teraz nie zapominaj dziewczyno, że ja się w tobie kocham już zgórą rok...

Przyciągnął ją do siebie i pieścił, pieścił pożądlawie, zapamiętane, do bólu, do szału, jakby pragnąc zalać, zapełnić otchłanie wiekuistego pragnienia...

Traciła przytomność, zdawało się jej, że poza nim chyli się ku niej w zmroku śmierć i sama go wtedy tuliła do siebie, zarzucając mu ochronnie ramiona na szyję. I znowu zstępowała na dół śmiertelnie znużona, ledwie trzymająca się na uginających nogach i czuła zawczasu na sobie badawczy, niespokojny wzrok matki.

— Nie, to się więcej nie powtórzy!.. Trzeba mieć rozsądek... Wszystko zginie!.. Ostatni raz!.. — powtarzała sobie.

Tego dnia Tadzik pojechał do miasta i oczekiwała go w wielkiem podnieceniu, ludzając się, że przywiezie dokumenta...

Zamiast tego przywiózł... Zosię. Zmarzyła na kość! Skoro tylko uwolniono ją jednak od oszroniałej szubki, skoro roztarła sobie ręce i stężale policzki, że mogła mówić, poprowadziła panią Wojciechową do sypialni i drzwi za sobą zamknęła.

Frana kilka razy podchodziła ku nim, wreszcie zastukała nieśmiało.

— Mamuchno, ja muszę...

— Chodź, chodź!.. Chciałam cię właśnie zawołać!.. On tu jest?... Gadał zaraz!.. — wpadła groźnie na córkę, gdy ta weszła do pokoju.

Dziewczyna zmartwiała i póbła-dła jak płótno.

— Tak!—szepnęła cichutko i po-twierdziła głową.

— Cóżś zrobiła, dziecko nie-szczesna!.. Zgubiłaś na wszystkich... Ojca, braci... Dla Moskale, dla zbója, dla chama!.. O Boże, Boże!.. Czuło serce moje, że źle... Domyślałam się czegoś... Ale, żeby aż tak... I długoż on tu siedzi ten zbro-dniarz?... Jak śmiał?... Jaks mogła córko niegodna... Wstyd, hańbę na siwe głowy nasze... Idę zaraz po ojca, wołam braci... Niech go wiąza, niech go wiodą...

— Matko, matko... Ja pójdę z nim... Miałamże go wydać... Przyszedł jak słup lodu... Osaczyli go ze wszystkich stron... Miałam go wypędzić! wydać, żeby go zabili...

— A teraz wszyscy zginie-my, wszyscy... Wszystko w proch się rozleci... Po więzieniach włóczyć nas będę, gnoić... i ojca starego i brata... Wszystkich... Choćby za co?... Za nic!.. Gorzej, za złodziej-stwo, za rozpustę... własnej córki...

— Ja mu powiem, on sobie pójdzie... i... ja z nim!.. — szepnęła Frania, kierując się ku drzwiom.

— Stój, ani kroku!.. Nic tu już nie masz do gadania!.. Tu, ojciec... On... bo na niego cały ciężar się zwali!.. Wielka rzecz: pójdzie sobie!.. Przyszdeł, naśmiecił i poszedł... O Boże, Boże!.. Przekłeta niech będzie godzina mej gościnności, kiedym mu w ten dzień gorący podała szklanek zimnej wody... Pamięta!..

Franka zakryła twarz rękami.

— Trzeba będzie ojca zawołać i powiedzieć... Trzeba będzie naradzić się, co zrobić... Kiedymż to oni mają przyjść?.. — zwróciła się, ścisząc głos, pani Wojciechowa do Zosi.

— Pewnie nie zaraz... Zanim wydadzą rozporządzenia, minie trochę czasu... Przyjechałam jak się tylko dowiedziałam o projekcie...

— Idź więc, Zosiu, idź po męża. On we młynie.

Gdy została sama z córką, poszła do niej i odrywając ręce od twarzy, mówiła w oczy...

— Powiedz, powiedz: byłas jego kochanicą... Czy śmiał, ten nędznik! Nie uszanować progów gościnności! O Boże, Boże... Córka moja droga!.. Co się stało... Co się z tobą stało? Na to hodowałam cię, kwiatuszku mój, by zbój, wróg... zerwał cię... O hańbo, hańbo!

Opuściła się ciężko na krzesło, a Frania przypadła na ziemię do jej kolan do jej stóp, wstrząsana serdecznym łkaniem.

— Gdzie, co i jak?.. Opowiedzcie porządnie!.. No, jest, dobrze jest... Tereszczenko... Gdzie on jest? — pytał z pewną niecierpliwością pan Wojciech, wchodząc do pokoju.

— Jest tutaj, a gdzie nie wiem!.. — odpowiedziała Zosia.

— I o tem już wiedzą w mieście?

— Nie, nie wiedzą, jeszcze, ale mają zrobić u was rewizję, bo przetrząsnęto całą okolicę i nigdzie go nie znaleziono... Wpadł jak kamień w wodę... Do was tylko nie zagładano, boście byli bliżej miasta niż go widziano na drodze... Dopiero Atłasow wpadł na myśl... — dodała zlekka zapłonią pod badawczym spojrzeniem starego.

— No i gdzież on tu jest?.. — zwrócił się do żony.

— Na górze!.. — odrzekła ta głucho.

— Aha, aha!..

Spojrzał na córkę klęczącą z twarzą w dłoniach i brwi pochmurnie zmarszczył.

— Gdzie jest klucz?..

— Daj klucz!.. zwróciła się matka do Frani. — Nie chodź sam, nie chodź!.. Nie wiadomo, co on tam zrobił!.. Zawołaj chłopców...

— Et, głupstwo!..

Wziął klucz z rąk córki i ciężko stąpając wszedł na górę po schodach, za nim podążała Zosia, a pani Wojciechowa stała niezdecydowana na progu, spoglądając to na klęczącą w dalszym ciągu córkę, to na męża, niknącego w wejściu na strych. Tereszczenko już nań czekał, tuż przy podniesionej klapie.

— A to pan?.. Myślę, że choć należało nas się spytać, a nie tak... podstępnie!

— Wyrzucilibyście mię, a dla mnie każdy dzień był zbawieniem. Odejdę choć zaraz, jeżeli zechcecie!..

— Jakto: jeżeli zechcemy?.. Wytropili cię i nasze chcenie nic tu nie pomoże... Musisz zaraz zmykać... Zofia Karłówna przyniosła wiadomość...

— Mocno obowiązany!.. — mruknął Tereszczenko kłaniając się dziewczynie.

— Nie wiedziałem, że pan jest i nie dla pana to zrobiłam.

— Więc nie wiedzą, że tu jestem... Pozwólcie mi w takim razie zostać tu do wieczora... — prosił.

— Ani chwilki, ani chwilkil!.. — krzyknęła z dołu pani Wojciechowa. Pan Wojciech wahał się, chmurzył i kręcił wąsa.

— Dobrze, ale przeniesiesz się do stajni!..

— Przeniosę się gdzie tylko chcecie... Dla was, myślę, jest rzeczą równie pożądaną, aby nie widziano, iż stąd wyszedłem... W dodatku... chciałbym się pożegnać... — dodał, rwącym się trochę głosem.

— Żadnych pożegnań!.. Bóg z wami!.. Chłopcy przyniosą wam chleba i mięsa na drogę...

— Dziękuję!

Chciał jeszcze coś dodać i zrobić ruch jakby rękę zamierzył wyciągnąć, ale Zagnański udał, że tego nie widzi.

W głębi domu mocno zatrzęsnęły się drzwi.

Młodzieniec, ubrany na drogę, za nim dziewczyna i starzec stępowali ciężko i wolno po schodach zabarwionych blaskiem bijącego w okna zachodu.

XXVI.

Chłopcy przejrzeni strych i usunęli stamtąd starannie najmniejszy ślad pobytu Tereszczenki. Spory woreczek złotego piasku, który tam znaleźli oddali panu Wojciechowi.

Ten długo namyślał się, co z nim zrobić, wreszcie zagrzebał go własnoręcznie pod nawóz w rogu stajni. Schował również Gawar swój „Regulamin Mustry“ oraz kajet z naklejonemi starannie wycinkami gazet, — tyczącemi się „strzelców“ Belza wręczył Tadzikowi uroczystie zeszyt wierszy:

— Nic tam niema, bo ja się w te rzeczy — rzecz prosta nie bawię... Ale... wezmą, nie zrozumieją i Bóg wie co z tego wyniknie... Lepiej usunąć im z oczu!

Daremnie jednak czekano dzień i dwa — nikt się nie zjawił.

Roboty w domu szły zwykłym biegiem. Korzystając z wiatru chłopcy wiali ziarno i po dwóch dniach przerwy, znowu zaczęli przy wietrzy wyśmiewać się z Belzy, opowiadając dziwa o jego niezaradności i gospodarczej naiwności.

— Wie, tatuś, on mi wczoraj świecił latarnią przy sypaniu worków, ale nie zupełnie dobrze. Mówię mu: obróć się, bo ciemno, a on obrócił się dookoła jak lalka i tyłem do mnie stanął!..

— Skąd ja mogę wiedzieć, co ci potrzebne... Trzeba mówić wyraźnie: półobrotu, ćwierć obrotu!.. — bronił się Belza.

Stary nie uśmiechał się jednak jak zwykle, nie pobudzał młodzieży do dalszych sporów, lecz surowo milczał w kłębach dymu z niegasnącej już na chwilę fajki.

Frania leżała chorą na gorączkę. Matka przeniosła ją do sypialni, a męża ulokowała tymczasowo w pokoju córki. Stary o nic nie pytał, ale w domu prawie się nie pokazywał, spędzając całe dnie w turkocącym monotonna młynie. Od czasu do czasu zjawiał się na progu i posępnie patrzył na drogę, na biegnący opodal trakt. Tam wszakże prócz zwykłych przejezdnych chłopów i przelatującej od czasu do czasu kibitki pocztowej — nic szczególnego nie było widać.

Wtem przyszła wieść z początku głucha, a następnie potwierdzona przez przybyłego z targu Tadzika, że Tereszczenko aresztowany.

— Schwymano go kilka stąd stacji... Chciał strzelać ale chłop mu drągiem zdradziecko przetrącił rękę... Najął się, a potem go wydał... Tacy oni, podlecyl! — oburzał się chłopak.

Dalszy ciąg nastąpi.



PRZEGRANA.

18

— Ja już nie wrócę na Wspólną? Spytała cicho. Cudne, gwiazdziste oczy spoglądały z prośbą. Na dnie serca tailo się niedobre przeczucie, że najdroższy marzyciel nie potrafi jej obronić, że mąż, i wszechpotężny Chabrowski, uknują zdradliwy projekt, potrafią odebrać ją, i zniszczyć całe szczęście.

— Nie wróci pani na Wspólną.

— Chcę rozpocząć nowe, lepsze życie będę zarabiać na chleb, chcę pracować dla idei... pan wszystko obmyśli?

— Wszystko obmyślę.

Szczęśliwe oczy patrzyły w siebie.

— A włosienica? zażartowała.

— Obejdzie się bez włosienicy.

— Napewno?

— Napewno.

Ale zabawy, śmiechu, wina nie będzie już nigdy — szepnęła z nieśmiałym żalem, — a ja tak lubię natłoczone sale, pełne gwaru i blasku, muzyki i zwierciadeł — urwała, rozumiejąc całą niewłaściwość tego odezwania się, rzekłbyś, podszeptniętego przez dawną, lekkomyślną, pustą Ewę.

— Pokocha pani swój trud, — zapomni o przeszłości. Żyć tamtem, dawnym życiem nie pozwolę... — I znowu w głosie odezwała się zażwistość.

— Dobrze już, dobrze — będę najposłuszniesz, — przepraszała ulegle.

Po co mieli troską tłumić wesele serc, gasić frasobliwem przewidywaniem złudzenie, na co im było patrzeć w zmarszczone oblicze powszedniej rzeczywistości i słuchać zrządzających napomnień zdrowego rozsądku, na co im było wiedzieć, że od tchnienia żądry już zaczynał się zajmować cudny gmach ich czystego uniesienia? Na co?

Tegoż dnia o zmroku, stryjenka z zakłopotaniem, dobierając wyrażen oglednych, przezornie, nie dopowiadając zdań do końca, zwiastowała Ewie, że nadszedł z Wiednia, od niejakiego Chabrowskiego, telegram z wiadomością o bardzo ciężkiej chorobie Czesława.

— „Może Bóg da — może Bóg jeszcze uratuje” — pocieszała stryjenka.

Ewa w godzinę potem wyjechała do Warszawy.

XII.

W Warszawie stryjenki Rogońskie z Janką i płaczącą z żalu panną Ireną, odprowadziły Ewę na za-

lany promieniami ciepłego kwietniowego słońca, dworzec Wiedeński. Obie starsze panie miały oczywiście twarze tragiczne i łzawe oczy, mówiły głosem żalobnym, wzdychały, słowem nie szczędziły Ewie objawów żalości, zgorzone w duchu jej strojną i zbyt jasną suknią oraz nieodpowiednim do roli przyszłego wdowieństwa wyglądem. Nie obyło się oczywiście także bez poufnego na uboczu konsylium rodzinnego, podczas którego stryjenki ubolewały nad zagmatwanym stanem interesów biednego Czesława, nad niepraktycznością i rozrzuconym trybem życia jego żony, nad niepewną w obec prawdopodobnej śmierci Czesława przyszłością wdowy i rozwijającej się tak pomyślnie Hygei (fabryki papierów klozetowych). Na widok jakiejś pani z kanarkiem Ludwikowa Rogońska, przerwała naradę, skoczyła ku niej i zwróciła się o informację, gdzieby można dostać czerwoną papugę.

Gdy rozległ się dzwonek, Ewa z ulgą i otuchą wskoczyła do wesoło w blaskach słonecznych, lśniącego lustrzanemi szybami i lakierowanemi ścianami wagonu. Jeszcze kilka, płaczliwych spojrzeń i smutnych kiwnięć głową, kilka napomnień i słów pociechy i poleceń opiece Boskiej — i pociąg potoczył się. Ewa miała wrażenie, że skończyła się równie przykra jak fałszywa scena, którą musiała grać i przed rodziną i przed własną świadomością.

Teraz znowu mogła być sobą. Ją zaś od wczoraj napępniało po brzegi uczucie energii oraz przychylności dla świata i, nie mogąc zmieścić się w niej, szukało ujścia w rozmowie, w czynności. Ewa przeczytała od deski do deski wszystkie gazety, choć nie zajmowała się polityką i wszystkie ogłoszenia, zawarła wbrew zasadom i przyzwyczajeniu znajomość z towarzyszymi podróży, których od razu polubiła, opowiadała im szczerze i szczegółowo o swoim niespodziewanem nieśczęściu, — nasłuchiwała się wyrazów współczucia, żywo i serdecznie interesowała się losem każdego z sąsiadów w przedziale. Galicyjskiemu właścicielowi terenów naftowych, równie bogatemu, jak otyłemu życzyła w duchu, aby dorobił się jeszcze większych milionów, ubogiemu inteligentowi, który za ostatnie pieniądze dążył do Davos dla bez-

nadziejnej kuracji — powrotu do zdrowia, eleganckiej damie, znudzonej Warszawą — zabawy w Monte Carlo czy Paryżu. I nie wątpiła, że spełnią się te życzenia, bo zdawało się jej, że posiada dziś dar przynoszenia ludziom pomyślności. A pragnęła aby wszystkim działało się dobrze, żeby wszelka bieda znikła z powierzchni ziemi. U roznościeli dzienników i słodczy, kupowała niepotrzebne jej pisma, pomarańcze i czekoladę i nie brała od nich reszty, służbie kolejowej rozdawała zbyteczne zupełnie napiwki: suchotnikowi pożyczyła pled i poduszkę oraz ustąpiła swego miejsca, aby mógł wygodnie wyciągnąć nogi. To samo przyjazne uczucie rozciągało się i na męża, dla którego żywiła szczerą litość. Pamiętała, że on tak bardzo dbał o życie, tyle miał imaginacji i niezmiernie, po prostu chorobliwie obawiał się śmierci. Zdawała sobie sprawę, że należał do kategorii ludzi, o których się mówi, gdy umrą: „szkoda! W pełni sił, w kwiecie wieku”, i gotową była te zdawkowe ubolewania powtarzać zupełnie rzetelnie. Ale myślała o mężu rzadko i krótko. Gdy ściemniło się i umilkły między sennymi podróżnymi rozmowy, — pani Rogońska przy wydobywaniu zapasów, które przygotowała jej na drogę, płaczącą z wielkiego żalu zacna, panna Irena, ujrzała jakoby w przeczuciu widzeniu szerokie śród pustego nieznanego pokoju hotelowego łóżko i na łóżku leżącego w surducie ze skrzyżowanemi na piersi rękami Czesława Rogońskiego. Uczyniło to na niej tak silne wrażenie, że wyszła na korytarz. Tu z uznaniem dla praktyczności własnej uprzytomniła sobie, że (mimo pewnej drażliwości wobec panny Ireny) zapakowała same niemal czarne suknie, oraz przypomniało się jej, że dziś rano w salonie banalny portret męża przemówił do niej po raz pierwszy jakowymś zaświatowym smutkiem. Westchnęła z litościwą dobrocią. I zaraz potem żałowała, że nie znajduje się w ostatnim wozie, gdyż chciałaby tam, jak Małkowski w ową noc podróży do Zapola, stać na platformie i upajać się jazdą, pędem w przestrzeń, powietrzem ciepłej, kwietniowej nocy. O Małkowskim myślała jeszcze rzadziej niż o mężu. Odkładała to na później. I tylko uśmiech skrytej szczęśliwości, niby powiew pachnący wiosenną pogodą wiał przez serce.

Ruch kurjera austriackiego uspił panią Rogońską. Ocknęła się rzeżka wczesnym rankiem już blisko Wiednia. Pociąg mknął, zataczając się

na łukach i zachyleniach, podrzucając na zwrotnicach, pełen zda się, niestrzymanej energii i otuchy. Tylko ku czemuś dobremu z takim szczekającym animuszem lecą pociągi. W oczekiwaniu stolicy ludzie skupili się u okien. Brzmiały rozmowy, jak zdawało się Ewie wesołe. Lokomotywa poczęła gwizdać raz po raz, pociąg podwoił szybkość. Były już przedmieścia.

Na dworcu północnym Chabrowski, zawiadomiony depeszą, miał spotkać panią Rogońską. Stał dosyć daleko zmieszany z tłumem. Ewa dostrzegła go nie odrazu, a gdy zauważyła, uczuła badawczy wzrok jego, który obejrzał ją od stóp do głowy, od głowy do stóp. Dziwił się może ruchom jej, niestosownie żywym czy też jasnemu kapeluszowi i kostjumowi. W każdym razie zwolniła kroku jak przystało na osobę przybitą.

— I cóż? Jakże teraz?—zaczęła żywo, dokończyła ciszej. Usta jej drgnęły. Tak była pewną odpowiedzi—„już nie żyje“ że zadała pytanie tylko z obowiązku.

— Stan jest bardzo poważny, groźny nawet,—odparł powoli Chabrowski—niebezpieczeństwo nie minęło, lekarze nie tracą nadziei.

Po raz pierwszy po tylu latach znajomości pani Rogońska spojrzała Chabrowskiemu w same źrenice, przypuszczając, że drwi z niej. Jego rozumne oczy, tak często szydlive i cyniczne były badawcze, wszystkowiedzące. Ewa szybko spuściła powieki. Odczuła suchość w ustach i krtani, odczuła naraz znużenie po dwu spędzonych w wagonie nocach, prócz tego coś nieokreślonego, coby nazwać można było zawrotem głowy, gdyby działało się to w głowie.

W dorożce Ewa szczegółowo rozpytywała, a Chabrowski równie drobiazgowo zdawał jej sprawę z nagłej i niezupełnie zwyczajnej choroby adwokata Rogońskiego.

Ludnym ulicom wspaniałego Wiednia przyświecało z pogodnego błękitu słońce, ale Ewa jak w zmoarach dzieciństwa widziała nad sobą niskie, tłoczące niebo, koloru węgla, czarne oblicze Boga i murzyńską Jego rękę, ściśniętą gniewnie w pięść.

XIII.

W przeciągu tygodnia ważył się los Czesława Rogońskiego. Zdania lekarzy, między którymi nie brakowało najpierwszych powag stolicy, podzieliły się. Zagadkowe zasłabnięcie nieszczęsnego mecenasa (atak paralityczny w połączeniu z dziwnym zapaleniem opon mózgowych) zali-

JAN SOKOLICZ WROCZYŃSKI.

Na ulic rogu.

*Zakwitły bzy na ulicach,
w koszach plecionych z wikliny,
w zadumach i tęsknicach
w mrok szarej wędnej godziny.*

*Zakwitły na ulic rogu
żółto złociste kaczeńce,
gorzko pachnący kwiat głogu,
i tulipanów rumieńce.*

*Bzy białe i bladolila,
smutne jak uśmiech markizy;
białe, jak płatki motyla
dumają w dzbanie narcyzu.*

*Wielkie gałęzie tarniny,
puszyste, jedwabne bazy,*

*i w czterolistne jaśminy
zakłęci, przesmutni pазie.*

*Czeremchy białe okiście
szałem i żądzą pachnące;
konwalje cicho, srebrzyście
na Anioł Pański dzwoniące.*

*W subtelnej skąpane woni
fijołków pąki nieśmiałe;
kwiat słodki pachnie jabłoni,
stokrotki śmieją się białe.*

*Na miejskich wiosna ulicach—
kwiaty w koszykach z wikliny,
w zadumach i tęsknicach
w mrok szarej wędnej godziny...*

WANDA MELCER-RUTKOWSKA.

Kostjum wiosenny.

*Muszę się przecież czymś różnić od drzew!
Nie mogę chodzić splecioną, jak one
krwią, co za chwilę wytryśnie z gałęzi,
z młodych gałęzi, czerwonych o wiosnie.
Muszę się przecież czymś różnić od drzew!*

*Muszę się przecież czymś różnić od kwiatów!
Nie będę chodzić z opuszczoną głową
chwiejąc się lekko na łądzyce ciała,
jak na zielonej łądzyce pierwiosnki.
Muszę się przecież czymś różnić od kwiatów!*

*Muszę się przecież czymś różnić od łąk,
co mają piękne, powłóczyste suknie,
zielone suknie, haftowane w kwiaty,
i przepasane niebieskim strumieniem.
Muszę się przecież czymś różnić od łąk.*

*Choćby przez suknię odnaleźć granicę,
przez nowy kostjum z ciemno-szarej wełny
i przez kapelusz z różowawej słomy,
granicę, która dzieli mnie od kwiatów,
od łąk zielonych i wiosennych drzew.*

czano do wypadków rzadkich i interesujących,—odbywały się konsylja. Dwa razy dziennie Ewa wysłuchiwała biuletynu. Naczelný lekarz oszczędzając boleść żony, w wyrażach oględnych, a zwykle zapożyczonych u Pytji wypowiadał opinię własną lub kolegów swoich. Stan chorego określano jako groźny lub niebezpieczny, lecz na końcu dla podtrzymania otuchy, dodawano stereotypowo: „aber doch“.

Czesław Rogoński otoczony pielęgniarkami, nie potrzebował dozoru, mimo to Ewa nie chciała usłuchać ani rady doktora, ani nalegań Chabrowskiego i nie przeniosła się do hotelu. Mąż nie poznawał nikogo, leżał z okładami na głowie, najczęściej z zamkniętymi oczami, bezwładny, niemy, obojętny na wszystko a więc i na to, kto wlewał mu łyżeczkami lekarstwo, wodę z winem, śmietankę. Połykał chciwie, otwierał wargi, dopominając się może o więcej. Czasami podnosił powieki, czasem poruszały się usta, niekiedy coś w rodzaju uśmiechu kurczyło mięśnie twarzy. Ewa nie umiała oprzeć się wrażeniu, że źrenice męża, które lekarz natrętnie zbliżając jaskrawą lampką elektryczną w rękę codziennie badał, widzą i usiłują niekiedy spojrzeniem coś wskazać i wyrazić, że wargi poruszają się, by coś powiedzieć i uśmiechają, by uśmiechem dziękować za posiłek, pomoc, opiekę.

„Nie dajcie mnie śmierci“—usiłowały zapewne powiedzieć usta, uśmiech, oczy chorego, który tak niezmiernie kochał życie swoje i obawiał się śmierci. I Ewa dni całe spędzała przy chorym. Długie godziny tępym wzrokiem patrzyła ku oknu, na linoleum podłogi w doskonale białe i czyste drzwi, nie widziała tych, którzy wchodzili i wychodzili, niekiedy przenosiła spojrzenie na czoło męża, spiczasty nos, zapadłe skronie, albo na rękę jego, spoczywającą na kołdrze bardzo już wychudłą,— w podświadomej kryjówce duszy badając i obliczając, kiedy ten nos wydłuży się i zaostrzy jak u nieboszczyka, krew przestanie tętnić w żyłach, martwe palce na wieki splecione spoczną na piersi.

I znowu tępym wzrokiem mierzyła drzwi albo wstawała, wykonywała jakieś czynności, zapuszczała firanki, gdy raził blask słońca, dawała mężowi lekarstwo. Wszyscy w klinice podziwiali poświęcenie pięknej żony, ona zaś była niemal tak samo bezwładną, bezmyślną i obojętną jak Czesław Rogoński. Zdawało się Ewie w owym okresie, że ona znajduje się poza sobą sa-

mą. Świat zewnętrzny prawie nie istniał dla niej. Rano i wieczór chodziła zwykle na spacer, dokądkolwiek przed siebie, niekiedy kilka dni z rzędu tą samą drogą, czasami błąkała się długo w nieznanej dzielnicy ale nigdy nie udawało się jej zabłądzić, przepaść bez śladu, zapomnieć o klinice, o chorym który nie chciał umierać. Na ludnych ulicach nie słyszała wrzawy ni turkotu, a gdy naraz mijala głuchota, hałas olbrzymiej stolicy był jej raczej przyjemnym. Zwłaszcza lubiła jęklliwe, przeciągłe dudnienie tramwaju na zawrotach. Często towarzyszył jej Chabrowski, za co była mu nawet wdzięczną. Ten woził ją do Prateru, pokazywał piękne widoki, znakomitości ze świata politycznego, naukowego i artystycznego, słynne kokoty, arcyksiężne i arcyksiężąt, prowadził do kawiarni, czytał dzienniki i wtykał jej do rąk ilustracje; coś gadał i najczęściej z jakimś ukrytym zamiarem;—przekonywał ją, że Czesław Rogoński napewno umrze albo wręcz przeciwnie tłumaczył, że Czesław właśnie kilkanaście lat jeszcze może

trwać w tym stanie zidjocenia i spalizowania.

— Zobaczymy, co Bóg da... do których przyznają się, że sami nie wiedzą—odpowiadała.

I odczuwała wówczas jak zwykle, że ona znajduje się poza obrębem swojej istoty, tam zaś, gdzie przebywała dawniej, leżał ciężki głaz i ogromem swoim zmiażdżył coś bezcennie drogiego na zawsze, na zawsze!..

Pewnego dnia mniej więcej w tydzień po przyjeździe Chabrowski przyniósł pani Rogońskiej wprost z konsyljum wiadomość, że niebezpieczeństwo minęło, ale że co do odzyskania władz nadziei mało.

Rozmawiali potem o długiej i uciążliwej kuracji mecenasa, o rodzinie Rogońskich, o nowinach z Warszawy, trochę o interesach, w końcu Chabrowski rzekł:

— Pamięta pani, mówiłem jej niegdyś, że aby osiągnąć coś, trzeba gorąco pragnąć.

Dalszy ciąg nastąpi.



F. Marion Crawford.

Przekład z angielskiego
przez H. J. P.

Rubin Prymadonny.

38

Powieść w dwóch tomach.

Tam zastał Juryja, wegetującego na jakiejś lichej posadzce rządowej, którą mu, puściwszy w niepamięć jego wojskowe wykroczenia, dano.

Iwan, będący uosobnieniem samolubstwa i skąpstwa, nie chciał dopomóc bratu, chociaż ten prawie przymierał głodem, wówczas Juryj doprowadzony do ostateczności, zamordował go w taki sposób, że śmierć mogła ująć za przypadkową, zagarnął cały pozostawiony przez tamtego zapas rubinów i napisał do Borysa, swego bliźniaka, by przyjechał podzielić z nim spadek po Iwanie.

Juryj i Borys zawsze korespondowali ze sobą i Borys od czasu do czasu pomagał bratu w jego pieniężnych kłopotach. Pomiędzy powrotem Borysa do Peterburga, a jego śmiercią upłynęło kilka tygodni, a przez ten czas opowiedział Juryjemu, który znał dobrze Londyn i był wtajemniczony w jego rozwodowe zamiary, mnóstwo szczegółów dotyczących się jego małżeńskiego pożycia, charakteru, postępowania i upodobań żony.

Następnie Borys zginął na ulicy od bomby, a Juryj opuścił kraj i zmienił nazwisko, chcąc się uchronić od nagabywań ze strony wierzycieli Borysa. Zaczął więc nowe życie jako Kralinsky.

Nie miał bynajmniej zamiaru uchodzić za Borysa i korzystać z jego praw małżeńskich dopóki nie poznał Lady Maud. Jej piękność wywarła na nim wielkie wrażenie i do reszty stracił głowę, gdy się przekonał, że ona bierze go za zmarłego męża. Wcześniej lub później byłoby się to i tak wydało, ale energiczny postępek Van Torpa skrócił udrękę Lady Maud.

Juryego oddano pod sąd i rosyjskie władze sprawiedliwości ocknęły się, zapewne pod naciskiem Anglii. Wydobyto rodzinne dzieje Lewenów z pyłu zapomnienia i roztrząśniono je w obliczu sądu. Wierzyciele Borysa zjawili się tłumnie na tej zasadzie, że jako spadkobierca zamordowanego brata, byłby w możności popłacić swoje długi. Sąd był tegoż samego zdania i rozkazał sprzedać skonfiskowane skarby.

Ale skoro należały one do Borysa prawo zmuszone było uznać, że pozostały po spłaceniu wszystkich długów majątek staje się własnością jego wdowy hrabiny Leven.

Dzięki temu, Lady Maud znalazła się w posiadaniu znacznej fortuny, przyjęła bowiem spadek, gdy się dowiedziała, że w razie odmowy, cały ten fundusz przejdzie na rzecz Rosyjskiego Skarbu. Tymczasem nastąpił spadek w cenach rubinów, a Rząd Rosyjski zorganizował natychmiast kosztowną wyprawę w celu odnalezienia kopalni, co się zresztą nie powiodło, gdyż Iwan Leven nigdy nikomu żadnych co do tego wskazówek nie udzielił, a Rząd wiedział tylko od jubilerów, którzy mieli do czynienia z Kralińskim i Baraką, że znajduje się ona, gdzieś w środkowej Azji co było zgoła niewystarczającym określeniem nawet tam gdzie chodziło o kopalnię rubinów.

Majątek Lady Maud pozwala jej prowadzić w dalszym ciągu i rozwijać ten specjalny rodzaj dobroczynności, który ona uważa za swój wynalazek, jeżeli go w ogóle dobroczynnością nazwać można, a który polega na tem, aby pewnej liczbie wykolejonych jednostek dać możliwość żyć uczciwie i przyjemnie w ukryciu zamiast wywłóczyć ich z poza Kurtyny Cnoty, na publiczną pokutę i poprawę. Jest to wszelako bardzo kosztowna i trudna w wykonaniu dobroczynność i nigdy popularną nie będzie; gdyż popularną dobroczynnością jest tylko ta która najmniej kosztuje i najmniej sprawia kłopotu, Pani Konstantowa Logotheti uczy się po francusku i po angielsku nad Bosforem od swego męża i z pewnością ukazanie się jej w Paryżu i w Londynie wywoła wielkie wrażenie. W dniu swego ślubu w Konstantynopolu Logotheti otrzymał list od Lady Maud, w którym pisała mu jak bardzo żałuje, że mu nie uwierzyła wówczas na yachcie koło Scaletty i że spodziewa się zapoznać wkrótce z jego żoną. Było to uczciwe zadosyćuczynienie uczciwej kobiety.

W parę dni potem Logotheti otrzymał również list od Małgorzaty, a jednocześnie kopertę ze wspa- niale wydrukowanym i illustrowanym anonsem. Małgorzata pisała, iż ona również cofa swoje podejrzenia co do Baraki i że ma nadzieję, zobaczyć go niezadługo. Na ogół jednak rada jest, że postąpił w ten warjacki sposób, gdyż dzięki temu oboje będą szczęśliwsi niż ze sobą. Co do niej samej, to wkrótce zaślubi pana Van Torpa u Świętego Jerzego na Hannover Square, przed wyjazdem do

Nowego Yorku, gdzie po Bożem Narodzeniu miała śpiewać w operze. Dodała, że spodziewa się, że jeżeli Logotheti będzie podówczas w Londynie, to przyjdzie na ślub i przy- prowadzi swoją żonę.

Anons, ozdobiony pięknymi szty- chami oznajmiał, iż „Spółka Pani de Cordova i Rufus Van Torp“ otwo- rzą swój nowy, operowy gmach na Fifth Avenue najdalej za dwa lata, wielką Wagnerowską uroczystością, że przedstawienia te trwać będą dwa miesiące włączając w to *Parsifala* z całkiem nowymi dekoracjami i udziałem największych żyjących artystów. Na końcu znajdował się plan gmachu dla dogodności osób, które pragnęły by znajdować się na uroczystościach z dodatkiem uwagi, że osoby takie zechcą zgłaszać się wcześniej, jeżeli pragną zapewnić so- bie miejsca.

Pan Van Torp prosił prymadon- nę by wybrała sobie jakiś prezent ślubny, dodając że ma już dla niej przygotowanych parę drobnostek. Wśród tych drobnostek, niektóre mogły być tymczasowo ofiaro- wane tylko na papierze, jak dom w Nowym Yorku, skopjowany wier- nie podług jej własnego domu w Lon- dynie, specjalnie przez angielskie- go architekta w tym celu do No- wego Yorku wyprawionego. Były tam jeszcze dwa wspaniałe prywatne wagony, zupełnie odmienne; jeden na Amerykę a drugi na Europę, w których miała zawsze podróżo- wać zawodowo, czy też dla własnej przyjemności. Pan Van Torp za- znaczył przy tej sposobności, że nie robi jej podarunku z *Lancashire Lass*, ponieważ yacht też „nie jest już zu- pełnie nowy“ ale był to tylko po- zór; w istocie bowiem yacht stano- wił dla niego rodzaj pamiątki z któ- rą nawet dla Małgorzaty nie chciał się rozstawać. Natomiast prosił ją, żeby wybrała sobie co innego.

Małgorzata odrzekła że jest jedna tylko rzecz, którą pragnęła by mieć, ale to się na nic nie zdało, bo rzecz ta nie jest do kupienia. Pan Van Torp oczywiście zapytał, co byto było takiego, i pokazało się, że był to ten rubin, który dał jej Logotheti, a potem zabrał do oszlifowania, i który stał się przyczyną tych nie- przewidzianych wydarzeń nie wyła- czając jej zamążpójścia. Logotheti miał go zapewne dotychczas, ale okazał się taktownym i nie ofiarował jej go w ślubnym ugominku, gdyż nie mogłaby go przyjąć. Swoją dro- gą pragnęła go ogromnie; bardziej jeszcze jako pamiątkę niż dla jego piękności.

Pan Van Torp odrzekł na to, iż zdaje mu się, że to się da zrobić; poczem udał się wprost do pana Pinneya, zapytał co się stało z ru- binem. Pan Pinney odpowiedział, że rubin został oszlifowany i znajduje się teraz u niego do sprzedania; uważał jednak że sam z siebie nie może zaproponować tego kupna panu Van Torpowi. Logotheti, który był czło- wiekiem bardzo subtelnym na swój sposób, polecił sprzedać ten rubin, gdy się po temu dobra sposobność nadarzy, a pieniądze przeznaczyć dla ubogich Greków w Londynie pod kuratorją Lady Maud Leven, Turec- kiego Ambasadora i Greckiego Du- chownego. Pan Pinney, naradziwszy się z najlepszymi ekspertami ocenił ten kamień na czternaście tysięcy funtów sterlingów. Pan Van Torp napisał czek na tę sumę włożył kamień do kieszonki od kamizelki i zaniósł go prymadonnie.

— Ano — rzekł z uśmiechem — masz tu twój rubin. A co słysząc dzisiaj?

Małgorzata popatrzyła na niego ze zdziwieniem, poczem otworzyła maleńkie, safianowe pudełeczko.

— Och! Och! Och! — zawołała z zachwytem. — Nigdy w życiu nic również pięknego nie widziałam. Ależ on stokroć jeszcze wspanialszy niż poprzednio.

— Oszlifowano go — zauważył pan Van Torp.

— Trzeba mu dać koniecznie jakieś imię — rzekła Małgorzata — wszystkie koronne klejnoty mają swoją nazwę, a ten jest z pewnością piękniejszy od wielu z nich.

Patrzyła zahypnotyzowana w różowe głębie wspaniałego kamie- nia i nie mogła mu się napatrzeć.

— Dziękuję ci! — zawołała — dziękuję ci stokrotnie. Nic mi większej przyjemności sprawić nie mogło.

I z temi słowy zarzuciła swe przepyszne ramiona na szyję Rufusa Van Torpa i ucałowała go kilka- krotnie, jak gdyby pragnąc zapom- nieć, że już raz w swoim życiu całowała innego mężczyznę, i że on także ją całował.

— Więc trzeba go jakoś na- zwać! — rzekł pan Van Torp.

— Tak. I ty musisz znaleźć coś odpowiedniego.

— Ano — rzekł Amerykanin — po tem wszystkim co się stało, na- zwiemy go najlepiej „Rubinem Pry- madonny“.

KONIEC.



Mecenasi warszawscy w obronie Członków Towarzystwa patriotycznego przed sądem Sejmowym roku 1828.

Zasłużony historyk, mec. Aleksander Kraushar wydał jako 77 opus swoich „Miscellane'ów historycznych”, interesującą kartkę z dziejów palestry warszawskiej pt. „Mecenasi warszawscy w obronie Członków Towarzystwa patriotycznego przed sądem Sejmowym roku 1828”. Dotychczas, rzeczywiście, nikt z historyków nie zwrócił uwagi na obywatelską obronę naszych patriotów, dzielnie prowadzoną przez Dominika Krzywoszewskiego, Marccelego Tarczewskiego, Jana Tadeusza Wołowskiego, Wincentego Topor-Matuszewskiego, Antoniego Majewskiego, Mikołaja Kostrzyckiego, Antoniego Grabowskiego i Kajetana Kozłowskiego.

Praca Kraushara może zainteresować szerokie koła czytelnictwa polskiego. Wykazuje bowiem jasno ile trzeba było mieć odwagi cywilnej, by móc z godnością bronić słuszych spraw klientów. Moskale chcieli rządzić naszymi sumieniami. Gwałcili prawo i sprawiedliwość, byle tylko przysłużyć się carystycznej chimere.

Odwaga naszej palestry i roztropność sędziów uratowały honor dostojnych naszych patriotów: Seweryna Krzyżanowskiego, Stanisława Sołtyka, Franciszka Majewskiego, księdza Dembka, Stanisława Zabłockiego, Wojciecha Grzymały, Jędrzeja Michty i Romana Załuskiego.

Mec. Kraushar wybrał z mów obrończych charakterystyczne momenty i dał je współczesnemu czytelnikowi, by mógł się zorientować w głębinach ich uczuć obywatelskich i powadze traktowania swego zawodu. Mec. Kraushar materiały do pracy swojej otrzymał od śp. Włodzimierza Płaskowskiego, znanego publicysty. Materiały te dziś są białym krukiem. Dobrze więc uczynił mec. Kraushar, że przypomniał współczesnemu pokoleniu świetlane postacie tak bohaterów, jak i obrońców.

Blaski i nędze życia kurtyzany.

Boy konsekwentnie polszczy tom za tomem dzieła Balzacka. Jest to duża zasługa kulturalna nawet w stosunku do powieści o tak wybitnie kryminalnej tendencji, jak „Blaski i nędze życia kurtyzany”. Powieść ta mimo nadzwyczaj sensacyjnej fabuły w pewnym względzie małuje jednak interesujące tło życia wielkomiejskiego w środowisku Paryskim. Wstęp pióra Boy'a nie kryje zresztą wcale właściwego sądu o tej powieści. Warto ją tem nie mniej przypomnieć polskiej kulturalnej publiczności. Kilka typów ludzkich Balzack namalował z właściwym mu mistrzostwem rodzajowego obserwatorstwa. W szczególny sposób wyróżnia ją tu typy całej gromady szpicli.

Sama przystępna bohaterka piękna Estera von Gobsek pokazana jest w barwach gobelinowej kobiecości. Wszystkie łajdactwa bowiem czyni za nią demon Karlos Herzera. On to prowadzi ją i Lucjana nad przepaściami swoich kryminalnych kombinacji. Balzack uczynił go genialnym, pomysłowym, stalowym człowiekiem. Ten król apasów niema niemal równego sobie w literaturze. Skrzepiła się w nim bowiem niezwykła siła i pogarda dla prawa ludzkiego.

Jeden może tylko Nucingen, tak plastyczny w innych powieściach Balzacka, w tej zawiera swój kontrast. Jego namiętność chwilami budzi humor i nie licuje wcale z psychologią człowieka, którego przebiegłość, spryt, rozum nauczyliśmy się cenić z innych dzieł twórcy „Ojca Gorjo'a”.

Powieść „Blaski i nędze życia kurtyzany” znajdzie u nas wielu chętnych i wdzięcznych czytelników. Przekład Boy'a jak zwykle stoi na wysokości zadania.

Z dziedziny kosmetyki.

Marji. Obecnie niema tego środka, trzeba czekać.

Sabaudce. Słowa uznania przyjmujemy z wdzięcznością, lecz nietyłe w tem naszej zasługi. Wytwórca Abaridowego kremu należy się podzięką, my tylko zalecamy go do użytku, znając z długoletniej praktyki jego cenne przysady. Dziś nie tylko w Polsce lecz prawie w całej Europie

znany jest dobroczynny wpływ jego na cerę. Znamy wypadki w których nawet egzemy długoletnie, uporczywe znikają przy użyciu tego rzeczywiście cudownego środka. Krem Abaridowy powinien być stosowany na noc codziennie w bardzo małej ilości, nie wtedy kiedy już leczyć trzeba niedokładności skóry, lecz sta e, nałogowo, jak wodę do mycia lub grzebień do czesania. Znamy oświadczenia damy przekraczające o wiele średnie lata życia, z wyglądu sięgające zaledwie trzydziestki, które zawdzięczają to Abaridowi stosowanemu bezustannie lat dziesiątek. Koszt jest nadzwyczaj mały, gdyż zwilżenie jednego paluszka wystarcza do namaszczenia całej twarzy. Zalecane przystępne mycie twarzy bardzo ciepłą wodą *otrabkami abaridowymi* bez mydła. Na ulicę bezwzględnie pudrować pudrem abaridowym dla ochrony przed wpływem zmian atmosferycznych. Kładziemy nacisk na puder abaridowy, bo niezawierający stanowczo dodatków związków metalicznych bardzo szkodliwych dla naskórka.

Kazimierz. Piegi, plamy, opalenizny, liszaje, natychmiastowo usuwa krem *Perfection* nie drażniąc skóry. Dostanie w perfumerji „Perfection”, Szpitalna 10. W Krakowie u Miklaszewskiego.

M-e Erce-des.

Anna Miszewska Gabinet Kosmetyczny

ul. Hoża 50, tel. 186-17.

Konserwuje urodę najnowszym systemem. Usuwa zmarszczki, kurczaki, brodawki, piegi, wagi, reguluje brwi.

S-té Institut de Beauté w Warszawie, Chmielna 2, tel. 247-39. Gabinety kosmetyczne. Racjonalne zabiegi kosmetyczne, prowadzone przez specjalistki pod kierownictwem lekarzy. Leczenie włosów. Usuwanie z włosów farby. Dział koloryzacji i farbowania włosów, prowadzony przez chemików specjalistów. Przyjęcie od godz. 10-ej do 7-ej po poł. oprócz świąt. 10992

Najmodniejsze perfumy obecnego sezonu

„LAUTRIGAN”

firmy „LAUTRIN”, Wolska 7, tel. 222-73. Do nabycia we wszystkich pierwszorzędnych perfumerjach. 101

CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ NA KWARTAŁ II-gi.

TABROMIK

PRENUMERATA

OGŁOSZENIA: wiersz nonparelowy lub jego miejsce na I-ej str. przy tekście 15 marek, w tekście i nadesłane 18 marek. Okładki na I-szej str. 10 marek, na II-ej i III-ej 6 marek, na IV-ej 5 marek. Marginesy: na I-ej str. okł. 125 marek, na II-ej i III-ej okł. 75 marek, na IV-ej okł. 100 marek, w tekście i przy nadesłanych 150 marek. Przed romansem Mk. 8.—, za romansem Mk. 6. Artykuły reklamowe 2500 marek za stronę. Załączniki 100 marek od tysiąca.

w Warszawie i na prowincji wynosi rocznie 480 marek, kwartalnie 120 marek, miesięcznie 40 marek. — Za zmianę adresu i markę.

Adres Redakcji i Administracji:
WARSZAWA, SZPITALNA 12. Tel. 47-25.

FILJA W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEN”, Piotrkowska № 81.

Przedstaw. w Ameryce: Pierwsze Polskie Biuro Dzienników Polish News Agency 26, Newark Ave., Jersey City, N. J.